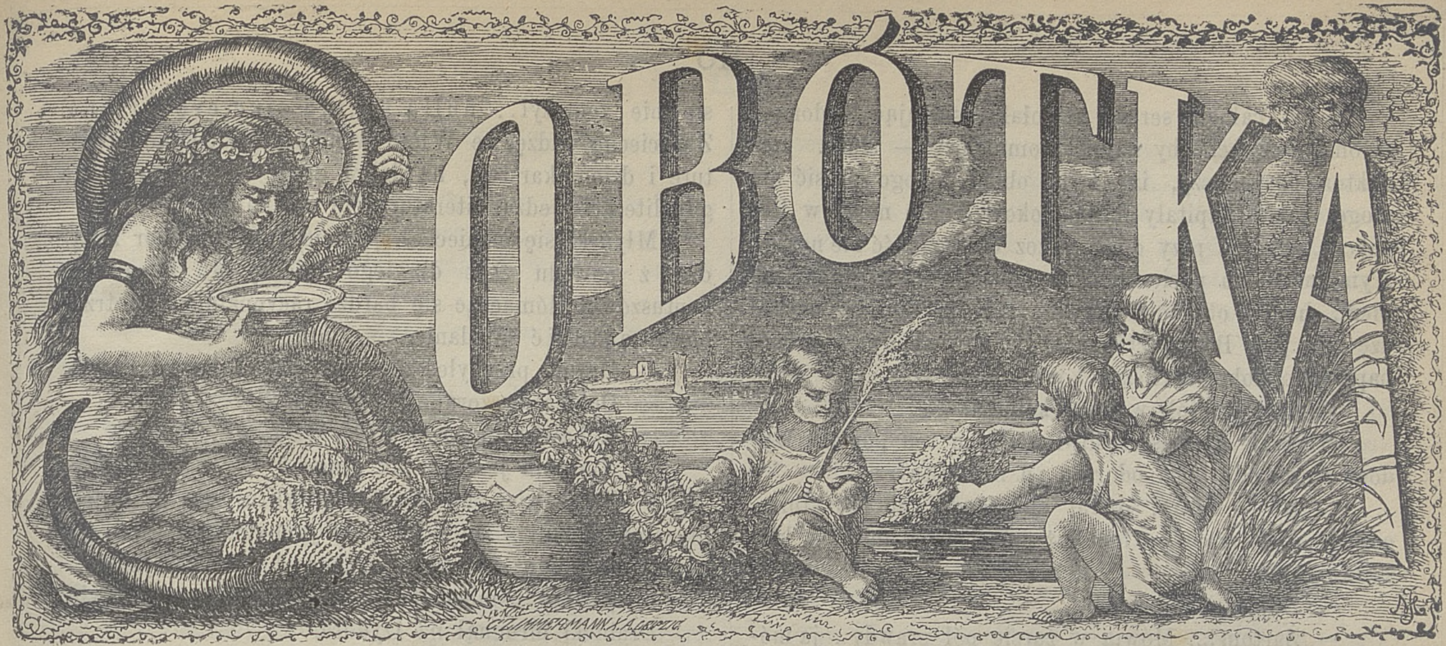


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 14. **Poznań, dnia 3 Kwietnia 1869.** **Rok. I.**

Od Redakcyi.

Szanowną Publiczność zawiadamiam, że od 1 kwietnia obejmuję redakcyą „**Sobótki.**“ Korespondencye proszę nadsyłać pod moim adresem. — Osoby, które **Sobótkę** dopiero od drugiego kwartału zaabonowały, otrzymają obadwa numery z pierwszego kwartału, w których rozpoczął się druk powieści J. I. Kraszewskiego „**W mętnéj wodzie**“, gratis. *Dr. Roman Szymański.*

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Ale najmiléj by mi było przedłużyć rozmowę tak... przyjemną, odparł dziennikarz — tylko to nieszczęście, że czekam tu, jak mówiłem, na pana Izydora, — bom go tu musiał zaprosić... aby raz go złapać. — Muszę go nakarmić, bo pił pewnie poddostatkiem... a nie wiem, czy co prócz wina od dwóch dni miał w ustach... i ztąd poprowadzę go do domu, aby napisał artykuł, który on tylko napisać mi potrafi. — Złote pióro!

— No — jeśli przyjdzie, miło mi będzie zbliżyć się do niego... zostawim miejsce, odpowiedział Młyński.

— A! nie! nie! lękam się... jako reprezentant dziennikarstwa złe na panu zrobi wrażenie... cynik... paple umyślnie dla fanfaronady niedorzeczności... ma upodobanie naigrawać się ze wszystkiego, począwszy od siebie... i mnie.

— A! to nas tylko zabawi!

Właśnie dwa jeszcze nakrycia dodatkowe przynieść kazał Świętosław, gdy we drzwiach od tak dawna oczekiwany ukazał się p. Izydor.

Ktoby nie znał téj znakomitości — mógłby ją był łatwo wziąść za ulicznego artystę; tak był zbrukany, odarty, opuszczony, niepoczesny. Słusznego wzrostu, postawy wojskowéj, z wąsem ogromnym, długą twarzą z różowych tonów wpadającą gdzieniegdzie w sine, z włosem szpakowaciejącym, p. Izydor ruchy miał niedźwiedziowate, niezgrabne, ciężkie, ale w rysach zmęczonych zużył mu się dowcip, a na ustach śmiało urągowisko z całego świata.

— Ot... jest... już kogoś złapał! zawołał, postrzegając Drabickiego... i siedzi za stołem...

— Nie jam złapał, ale mnie złapano tak łaskawie, odparł Redaktor.

— To wszystko jedno... wyjdzie na — złapał Kozak Tatarzyna... w końcu złapanym pewnie nie ty zostaniesz.., dodał, śmiejąc się i zbliżając p. Izydor.

— Bądź pan łaskaw nas poznać z sobą — rzekł Młyński.

— Pan podkomorzyc Młyński... pan Izydor...

— Bardzo mi przyjemnie, poznać tak znakomitego literata... dodał Świętosław.

— Stój! stój pan, nie ekspensuj się, spójrzyj na szpakowaciznę i chciéj wierzyć, że ja się już w komplementa nie bawię... Z reputacyi już także pana znam... jeźli przeznaczony na karmienie literatów.. przez miłość dla literatury....

Młyński się uśmiechnął... Dajesz mi więc pan prawo prosić siebie na obiad — o to miejsce, które nań czekało. Obiad skromny...

— Z całego serca! zawołał zasiadając Izydor — skromny czy choćby najnieskromniejszy — służę. Redaktor poświadczy, iż ja na obiad nikogo prosić nie mogę, gdyż kapitały moje ulokowałem u niego w Redakcyi.. grosza przy duszy przez oszczędność nie noszę.. Tymczasem na pociechę panu powiem, żem głodny jak pies.. honor obiadowi uczynię, a ze szkłem też obchodzę się, jak Bóg przykazał. Co powiedziawszy proszę naprzód o dobry kieliszek kontuszówki.

Uderzył w stół, wołając kelnera..

Młyński był uszczęśliwiony, ten ton poufały Izydora wprowadzał ich od razu in medias res.

— No — stary, ozwał się Izydor do redaktora.. cóż ci dziś zrobił, wielu już szlachciców masz w kieszeni? ilu okpiłeś?..

— Dajże pokój żartom...

— Żartom!... Mówią w żarcie pół prawdy.. ja mówię, że cała .. zaśmiał się Izydor — ale ponieważ prawda inaczéj jak zamaskowana przez świat przejść niemoże.. trzeba ją ubierać z błazeńska.

— Gdzieżci to jegomość bywał — przerwał redaktor — zlituj się! W redakcyi ani nosa nie pokazałeś.. robota czeka, dziennik się opóźni..

— Nie opóźni, po obiedzie właśnie będą w sztosie — rzekł Izydor.. zresztą, ktożby mnie z młodszych, salva melioratione mógł zastąpić. Niech się probują, chłopcy na mniejszych kwestyach in anima vili.

— Ale gdzieżeś był?

— Piękne pytanie! Człek znużony trudem gdzie być może? Spoczywa. Śniadaliśmy! Poczęło się o godzinie dziewiątéj summo mane, zawczasu, aby nie tracić dnia.. i aniśmy się spostrzegli, jak czas do pierwszéj upłynął.

Ręczę, że z panów tego nikt nie postrzegł, że ludzie przy kieliszkach obdarzeni są władzami fenomenalnemi, anormalnemi.. nie wytłumaczonemi.. nić nie mówiąc wymieniają najszczytniejsze, najwznioślejsze pomysły, w westchnieniach, spojrzeniach, śmiechach a nawet pełnych znaczenia rękawkach.. Myśli ich niepojętym sposobem bez pośrednictwa słów się z sobą porozumiewają... Pospolicie ludzie wznoszą się do jasnowidzenia!. z gapiów rodzą się wieszcze!... ah.

Drabicki ruszył ramionami. Młyński się uśmiechał.

— Mój Boże, zawołał, że też pan nigdy już tego nieszczęsnego trybu życia nie zmienisz.

—Nigdy! masz słuszność! po co? Przypada on do mojéj natury — a nie dowiedziesz mi, abym ze spóźnionéj obyczajów reformy mógł jakąś korzyść wyciągnąć.. Żony i dzieci nie mam.. mam tylko żołądek, on stanowi całą moją familią.. muszę dbać o niego.. Co innego wy patryarchowie.. ludzie poważni, wy musicie zachowywać decorum.. dla mnie to płaszcz niepotrzebny.. droższa mi moja swoboda od reputacyi porządnego człowieka, któréj teraz się już nie dorobię, choćbym kaptur wdział. A co mnie nawet od starania się o tę reputacyą odstręcza, to że porządni ludzie uchodzą powszechnie za — osłów.

Szanowny młodzieńcze — rzekł, zwracając się do Świętosława.. nie bierz tylko tego co do litery.. abyś się nie zgorszył.. nulla regula sine exceptione. Z pociechą widzę, że WPan wchodzisz, karmiąc literaturę i dziennikarstwo, na dobrą drogę — ale wiedz, że gdy literaci zjedzą, literatura cię nie nakarmi.

Młyński się uśmiechał, podano zupę.. Izydor zażądał z powodu zbyt długiego międzyaktu drugi raz kontuszówki, tłómacząc się bardzo racyonalnie, że potrzebował osadzić śniadanie.

— Dawno przybyłeś do miasteczka? spytał literat..

— Dopiero wczoraj..

— A bawisz pan z nami?

— Niewiem jeszcze, jak długo...

— Życzę więc, nie rozgłaszaj, zlituj się, że dajesz literatom obiady... zmęczą cię, a ja bym rad sam jak najwięcéj z tego szczęśliwego usposobienia korzystać.

Swiętosław uśmiechał się, bo cóż odpowiadać było. Drabicki mrugnął na Izydora.

— Ja, bo posądzam podkomorzyca, że musi mieć sam żyłkę do literatury i dziennikarstwa

— A jemu to na co?... odparł literat... mając wioskę? po kiegoż licho, jak mówią Rusini, miałby zdrową głowę kłaść pod ewanjelią... dla nas gołych to karyera... ale dla niego...

— Żartujesz — przerwał Drabicki.

— Nie żartuję — dziennikarstwo dziś dla uczciwych ludzi nie jest jeszcze dostępne...

— A my?

— Alboż my jesteśmy ludzie uczciwi? dokończył Izydor... My? ty masz ambicyą, a ja kieszeń i żołądek do naładowania.

— Cynik! cynik! począł się śmiać Drabicki.

— Widzisz! mówił nieprzegadany literat, który za obiad chciał zapłacić językiem... nie wprowadzaj mnie na ten drażliwy przedmiot, nie umiem się przyzwoicie zachować, gdy mi kto na ten mój nagniotek nastąpi... Młodzieńcowi zaś temu — nie życzę, nie życzyłbym i nigdy życzyć nie będę w szeregi kominiarzy...

Młyński się uśmiechnął.

— O! ja też wcale o tém nie myślę! zawołał.

— I ja bym tak sądził, mówił, jedząc Izydor — w pańskim wieku piszą się sonety do N. N... piosnki do lubéj... Elegie, sielanki, nawet próby tragedyi i zarysy powieści w rodzaju Jean Paula... nawet krytyki na koryfeuszów, po których głowach zawsze najłatwiéj na górę się wdrapać.. ale nigdy... artykuły wstępne o kwestyi wschodniéj, kwestyi propinacyjnéj, kwestyi panslawizmu i kwestyi katastru... Tego rodzaju elukubracyi podejmują się ludzie, dla których gymnastyka słów jest rzeczą obojętną i którzy najgorętsze diatryby wypracowują, ziewając...

— Jednakże, przerwał Młyński, z młodzieńczym ogniem i na tém polu coś zrobić można, tylko z większém niż ja.. doświadczeniem i nauką...

— Z mniejszém jeszcze doświadczeniem, z żadną nauką, zawołał Izydor, ale z zarozumiałością i zuchwalstwém... Blaga! blaga! blaga! nic bez niéj, a wszystko przez nią...

Ale po cóż zdradzam tajemnicę naszego warsztatu!..

Pan, kochany młodzieńcze, przystępujesz do przybytku dziennikarstwa, jak do sakramentu, a no spojrz

tylko na nas... Stare wygi, augurowie rzymscy spoglądają na siebie i uśmiechają się.

Kapłaństwo!! tak! kapłaństwo... ale ornaty w łachmanach, jakby po ormiańskich cerkwiach w tureczczyźnie, a my boso... co gorzéj! gdybyś zajrzał w głąb... pustki i śmiecie...

Ot — dosyć! dajcie piwa i zapomnijmy o wszystkiém...

— Nie mówiłem panu, że będzie bredził i prawił nic do rzeczy? szepnął Drabicki... to jego zwykłe piosenki...

— Co prawda, to nie grzech... a in vino veritas.

Rozmowa w tym tonie ciągnęła się przez cały obiad, na ostatek którego Młyński kazał przynieść szampana... Wypił nim zdrowie Drabickiego... p. Izydora, oni mu téż odpowiedzieli serdecznemi życzeniami, a stary wyga namieszał w to wszystko dowcipu i ucinków podostatkiem...

Już się butelka ze srebrną główką miała ku końcowi, gdy chłopak z drukarni nadbiegł, powołując pana redaktora dla nader pilnego interesu.

Musiał się tedy wynosić i chciał z sobą koniecznie pociągnąć p. Izydora... nie życząc sobie może sam na sam go z Izydorem podchmielonym zostawiać. — Ale szanowny współpracownik, mając zapewnioną czarną i posłyszawszy o mającym po niéj nastąpić likworze, wrósł w krzesło, nie chciał się ruszyć...

— Ani czterema parami wołów mnie ztąd nie wyciągniesz — rzekł stanowczo — dopóki uczciwie, ortodoksyjnie obiadu nie dokończę.

Drabicki rad nie rad musiał go ze Świętosławem dla téj konkluzyi zostawić.

Stary literat mniej się ku końcowi stał rozmarzonym, patrzał na Młyńskiego, jakby na wizerunek własnéj swéj złotéj młodości — czy to go zachmurzyło i odjęło mu wymowę? czy się znużył... czy jaka myśl czarna usiadła mu na mózgu znużonym? Powoli rysy te, na których śmiech sarkastyczny, wypiętnował się jako gość codzienny — przybrały wyraz poważny... obudzający, jeśli nie poszanowanie, to współczucie.

Patrzał na zarumienioną twarz p. Świętosława i dumał. — Młyński był w przykrém położeniu, gdyż zasępienie gościa przypisywał sobie, a niewiedział jak zaradzić na nie. — Kilka razy dolał mu nieznacznie Chartreuzy, ale to nic nie pomagało.

Nareście po długiém milczeniu p. Izydor pięścią w stół uderzył.

— Po cóż bym u licha, zawołał, miał się znowu tak do zbytku rozczulać nad losem pana?

— Nad moim? podchwycił Młyński zdziwiony.

— A tak! rzekł Izydor, nad naszym... Ja jestem człowiek zwykle twardy i gdy kto na ulicy padając, łeb sobie rozbije, śmieję się do rozpuku. A jednak widok téj świeżéj naszéj młodości, niby rozwiniętego kwiatka, co się słońcu uśmiecha, obudził we mnie uczucie jakieś, któregom dawno nie czuł w téj piersi zaschłéj i opuszczonéj. — Wam tylko wolno niewidzieć tego, co was otacza, ludzi wyzwierzonych na was, tłumów czatujących na młodość, na niedoświadczenie, rozbójników, którzy cię czekają za węgłami z uśmiechem i pałkami, dołów pokopanych na twéj drodze... zdrad... kłamstw i kuglarstw, na które cię brać będą. Tak! tobie tego widzieć nie wolno i to stanowi siłę twoję, szczęście twoje... ale ja, com za sobą dawno zostawił zrzucone w rynsztok białe młodości méj szaty, com już, łez niemając, krwią opłakał wiosenne dni, ja, com miał poraz pijane piersi, czaszkę, połamane ręce, które pracowały, nogi, co wiodły naprzód, ja, który dogorywam na kupie śmieci... ja spojrzawszy na was, pierwszy raz po wielu latach uczułem litość i współczucie.

Jestem stary głupiec, nieprawdaż?

Powiecie mi. Cóż z tego, że was to wszystko spotkało, maż i mnie koniecznie czekać ten los nieszczęśliwy??

Tak jest, niestety! tak! panie Świętosławie.. Nie wszystkich to spotyka, to pewno, ale ciebie nie minie.

Skrzywisz się, że ci stary grat na progu życia taką przepowiednię serce przebija — ale.. nie umiem się wstrzymać.. Widzę cię bezstronnym, pełnym zapału i wiary, z uśmiechem występującym przeciw światu, który nie ma litości, który szydzi z prostodusznych.. i zabija takich, jak ty.. bo mu z nich pieczeń smakuje.

— Jeżli to los nieuchronny — przerwał spokojnie Młyński — cóż pomoże wasza przestroga — musi się on spełnić! ale nie mniéj — zawołał wyciągając doń ręce obie — przyjm moje serdeczną podziękę.. wzruszyłeś mnie..

— Obym się przestraszyć potrafił — ponuro odezwał się Izydor. Patrz na mnie, łachmany sukni.. to nic.. ale we środku łachmany serca, uczuć — myśli.. kalectwo moralne.. niewiara, wystygnienie.. i szyderstwo... wyglądam tam w środku jak mogiła plugastwa, na któréj djabeł siedzi i gra w piszczel nieboszczyka marsz żałobny...

— Panie Izydorze, poufaléj odezwał się Młyński, nie obmawiaj siebie.. kto mógł rozczulić się młodością i poczuć dla niéj tę rewerencyą, którą ojcowie nasi zalecali.. ten jeszcze nie jest tak występnym.

— Ale u kaduka! przerwał Izydor powtarzając uderzenie w stół pięścią — tu nie chodzi o mnie! tu idzie o ciebie..

Młyński spojrzał nań przyjacielsko..

— Cóż mi grozi?

— Wszystko — zawołał stary — ja ci grożę tą piosenką ironii żywota. Drabicki, stary aktor, szalbierz... grozi ci to, co zobaczysz w roku ulicy, co posłyszysz, przechodząc, co ci szepnie do ucha kobieta... własne serce... wiatr.. albo ja wiem! Widzę cię kwiatem, przeczuwam, że zwiędnie, jak i bydło cię podepcze.. ot — i płaczę..

— Nie wierzycie więc w świat poczciwy..?

Izydor wstał, nałozył kapelusz na głowę i milczący zabierał się do wyjścia.

— Na to pytanie nie ma w moim wokabularzu odpowiedzi — rzekł spokojnie. Jesteś bezpowrotnie zginionym, a ja z łaski twéj ... niesłychanie pijanym... rozejdźmy się więc... aż póki nas losy niewiem gdzie i jak znowu nie skaramboluje... (Ciąg dal. nastąpi.)



Scena z roku 1863. (Obraz Artura Grotgera.)

Nie szemrzę Panie, bo oto me serce
Jak głaz ofiarny nowych ofiar czeka,
Uderz, nim zaschnie krew, co z niego ścieka,
Uderz, nim piersi zastygną w boleści,

I zapłodniony w poświęceń iskierce
Uczyń łan serca ofiarami żyzny,
Mówiąc do niego słowa świętej treści:
Szczęsny, kto umiał cierpieć dla ojczyznéj!

Nic nie nad siłę, gdy kraj ofiar woła,
Męstwem niezłomna i słaba niewiasta,
Gdy boleść wyższa, chęć ofiary wzrasta;
Panie! — ot dziecię jego — ja mam syna!

Lepsza mogiła — niż piętno u czoła;
Zrodzon w kajdanach, niech nie zna siwizny,
Niechaj konając ojca przypomina:
Szczęsny, kto umiał poledz — dla ojczyzny!

Józef K.

Narodowość w stósunku do kwestyi socyalnéj

przez Dr. **Karola Libelta.**

(Dalszy ciąg.)

Poznaliśmy więc, co jest narodowość. Pod względem fizycznym: jest to osobna fizyognomia plemienna, pod względem duchowym jest to duch tą osobną plemiennością nafarbowany i dla tego od ducha narodowego innych narodów w uczuciach, pojęciach i kierunkach swoich różny; nareszcie pod względem celu, jest to idea posłannicza narodu, do wykonania tych czynów społecznych i dziejowych, które wedle osobnych usposobień swoich narodowych, wykonać powinien.

Na pozór więc między narodowością a kwestyą socyalną nie ma żadnego stósunku, jedna zdaje się leżeć po za obrębem drugiéj, i jedna o drugą nie pyta. Bo jeżeli sobie uprzytomnimy, czém była kwestya socyalna:

że była i jest walką większości w niewoli trzymanéj przeciw mniejszości w wolności opływającéj,

że była i jest walką poddanych przeciwko tym, którzy w ręku swoim władzę i rządy niesprawiedliwie piastują,

że była i jest walką przyrodzonéj wolności człowieka a więc jego sumienia, jego praw przyrodzonych przeciwko wszelkim instytucyom i przywilejom, które tę wolność osobistą krępują,

że była i jest walką robotników przeciwko kapitanowi wyzyskującemu tę pracę,

że poczyna już być walką słabszéj połowy ludzkości to jest płci żeńskiéj, wyłamującéj się z pod przewagi płci męzkiéj itd.

Jeżeli sobie to uprzytomnimy nie widzimy na pozór żadnéj styczności między tą walką socyalną a narodowością, jest to walka na obszerném polu powszechnéj społeczności i powszechnéj historyi, z którą pozornie kwestya narodowości nie ma nic do czynienia, a jak socyaliści utrzymują, dla których ideałem jest ludzkość, a nie narodowość, narodowość zacierać się i zlewać w ludzkość powinna, bo sama jest socyalną anomalią, albo, jak się pewna socyaletka wyraziła, jest onanią społeczeństwa.

Mojém zdaniem najfałszywszém jest takie zapatrywanie się na rzeczy, i gotowe na długi czas zwichnąć kwestyą socyalną na tory fałszywe.

Narodowość tak się ma do ludzkości, jak się ma rodzina do narodowości. Wystawmy sobie naród bez rodzin, to jest bez małżeństwa, bez familijnych stósunków rodziców i dzieci, gdzieby kobiety tylko rodziły a społeczność dzieci wykarmiała i wychowywała, ale ojciec niewiedziałby o synie, ani syn o ojcu, podobnie matka nieznałaby córki, ani córka matki. Cel mnożenia się narodu na ten sposób zwierzęcy możeby był dopięty, może i nie, bo wiemy, jakie ofiary pochłaniają domy podrzutków, ale cel moralny narodu zwichniętym by został zupełnie i z upadkiem rodziny, z któréj wszystkie żywotne siły narodowości czerpią pierwsze swoje soki, musiałaby zaginąć i narodowość.

Podobnie ludzkość z różnych narodowości, jak z tylolicznych różnych duchowych zasobów czerpie żywotność swoją i rozwój swój. I równie trudnoby było wystawić sobie ludzkość bez nar-dowości, jak naród bez rodzin. One raczéj są warunkiem ich bytu, i dla tego nigdy narodowości nie zleją się w jednę bezbarwną ludzkość.

Cóżto jest ludzkość? — Jest to ogólna pojedyńczych społeczności społeczność, a zatém ostateczny kres kwestyi socyalnéj, rozwijanéj przez pojedyńcze narodowe społeczności. Myśl posłannicza narodu niczém inném zatém nie jest, jak kwestyą socyalną w dziejach przez ten naród rozwięzywaną. I tu nam się odkrywa nietylko najściślejszy stósunek między narodowością a kwestyą, ale nawet cel bytu narodowości i cel kwestyi socyalnéj jest ten sam; prace i walki idei narodowéj nie są czém inném, jak pracami i walkami w pewnych, osobnych kierunkach dla ogólnéj kwestyi socyalnéj podjętemi.

Naród przedewszystkiem jest społecznością, przeto posłannictwo jego nie może być inne, tylko społeczne. Każdy naród wedle swojego usposobienia i wedle swojéj możności przykłada się w pewnéj mierze do rozwoju i postępu idei społecznéj, a zatém bierze posiłkowy udział w walce socyalnéj.

I w tém leży cel i harmonia narodowości społecznych, które bez tego celu, nie miałyby żadnego wyższego powodu istnienia czyli żadnéj racyi bytu Ludzkość narodowości osobnych jest abstrakcyą, dałaby tylko obraz czarny bez blasku żywota, tak jak go rysuje słońce w wizerunkach fotograficznych, zaś ludzkość narodowościowa, jest obrazem kolorowym z blaskiem uroczym żywota, tak jak się z ducha ludzkości przebija, tak jak go maluje mądrość Boża z farb narodowościowych. O ile jest wyższém wizerunek malarza olejnemi farbami nałożony od fotografu z różnego stopnia cieni złożonego, o tyle wyższą jest ludzkość z narodowości złożona nad ludzkość abstrakcyjną i bezbarwną.

Wnijdźmy teraz bliżéj w ten stósunek narodowy do kwestyi socyalnéj. Obie mają, jak sie rzekło jeden i ten sam cel, postęp i rozwój społeczeństwa, aby się spełniły słowa pacierza, które odmawiać już matka dziecię swoje uczy, słowa wielkiego znaczenia socyalnego: „Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.“

Doskonałość społeczna jest bez granic; kto dziś pojmie, do jakiéj wysokości dojdzie za lat kilka tysięcy? ztąd walka socyalna zdobywająca sobie tę doskonałość musi być nieustająca, a postęp nadzwyczajnie wolny, dawniéj wiekami całemi przedzielony, cofany reakcyą potęg przeciwnych, prowadzony na drogi uboczne fałszywemi teoryami, przyspieszany oświatą i zdobywaniem sobie panowania nad naturą. Aby naród mógł wypełnić posłannictwo swoje społeczne, trzeba mu na to naprzód potęgi i siły, musi być pewném swojéj woli, musi być niepodległym. Ztąd początek dziejowy wszystkich narodów misyą społeczną spełniających, był zaborczy, a jako taki antinarodowy, niszczył i przerabiał wcielone w siebie narodowości, aż powstała potężna jednolitość równonarodowa, występująca z przewagą pierwiastku swego narodowego na teatrze dziejów i społeczeństwa ludzkiego i tu już powstaje drugie zadanie posłannictwa narodowego t. j. wyrobienie u siebie przez oświatę ducha narodowego. Naród wyrabia w kolei wieków i udoskonala swój język, swoją narodową oświatę i literaturę, narodową sztukę, narodowy przemysł; wykształca swoje prawa i instytucye i przeprowadza u siebie roformy społeczne, już rewolucyą, już walką legalną.

Naród, w którego piersi żywie idea posłannicza będąca, jak się rzekło, ideą społeczną, naród taki potęguje od dnia do dnia, od wieku do wieku wszystkie te pierwiastki narodowo-duchowe, język, literaturę, dzieje krajowe, pamiątki i zabytki narodowe swoje prawa i swoje instytucye. Jemu jest drogiém wszystko, co społeczność jego uorganizowaną dźwiga i wznosi, co

jego sławę wielkość, jego dobrobyt i bogactwo krajowe popiera.

Naród niepodległy, mający własny narodowy rząd i będący panem u siebie, ma tu łatwe pole działania, bo od jego woli zależy te reformy na dobro kraju przeprowadzać. On o tyle rosnąć będzie w potęgę i w znaczenie i w powagę i szacunek u obcych, o tyle sobie zapewni w dziejach znamienite miejsce, o ile wierniejszym będzie téj swojéj idei posłanniczéj, i o ile dumniejszym czuć się będzie z narodowości swojéj. Bo duch narodowy silny i potężny, to idea posłannicza w pracy, to kwestya socyalna w rozwoju.

Jeżeli z narodu niepodległego i potężnego ustąpi a przynajmniéj słabnąć będzie posłannictwo jego, jeżeli dlań język narodowy i jego literatura będzie bez wagi i przenosić będzie inne języki i płody piśmienne innych narodów nad swoje własne, jeżeli mu obojętnemi będą prawa i instytucye krajowe, jeżeli zatwardziałym będzie w przesądach i przywilejach, w nadużyciach i błędach i opór stawi reformom wołającym gwałtem o poprawę złego; jeżeli nie będzie się starał o dobrobyt tak krajowy, jak pojedyńczego obywatela, o krzepienie przemysłu, handlu i oświaty krajowéj; jeżeli nie będzie zdolen poświęcenia i ofiary dla kraju i będzie wolał frymarczyć dobrem jego; jeżeli będzie wprowadzało obczyznę i sam niczém się nie zajmując, jéj pozostawi handel, przemysł i pracę, jeżeli będzie naigrawał się z tego wszystkiego, co dotąd uważanem było za święte, dla tego że było narodowe, jeżeli przytém będzie marnotrawił mienie swoje, tak że ziemia częściami przechodzić będzie w ręce cudzoziemców napływających zewsząd, jak pszczoły obce do nieswojego ula — naród taki stoi u kresu swojéj niepodległości, stanie się łupem innych ościennych narodów, co lepiéj swoje posłannictwo pojmują. Zachodzi jeszcze tylko pytanie, czy z utratą niepodległości zginie i narodowość. Że zginęła i przepadła na zawsze, pokazuje nam dzisiejsze Pomorze i Szląsk, w których to ziemiach niegdyś słowiańskie udzielne księstwa kwitnęły. Z wielowładnych Rzymian nie pozostało i śladu, przemienili się na Włochów, Hiszpanów, Portugalczyków, Francuzów, Rumunów i tympodobne narodowości. Jedna tylko Grecya utrzymała się i zmartwychwstała do niepodległości, jakby na dowód niespożytego ducha sztuki i umiejętności który pierwotna Grecya wypielęgnowała. Ale i tu charakter plemienny pod wpływem panowania rzymskiego, słowiańskiego, byzantyńskiego i tureckiego do niepoznania się zmienił.

Niepodległość narodu jest tylko formą do przeprowadzenia posłannictwa narodowego, bez téj formy, w któréj jedynie objawić się może wola, a zatem czyn narodu, przeprowadzenie posłannictwa jest niepodobném. Naród wymazany z karty państw udzielnych ustąpił z dziejów, które są rozwojem idei społecznéj na wielką skalę bo rozciągającą się na całe epoki i na całe narody. On też już nie jest mocen przeprowadzać ideę społeczną w formie narodowéj wśród własnego kraju, bo tym krajem rządzi inna narodowość mająca kierunki wbrew przeciwne narodowości ujarzmionéj. Ona nie będzie popierać ani jéj języka, ani jéj oświaty, w ogóle żadnéj jéj narodowych mocy dźwigni i owszem stawiać im będzie zawady i trudności, bo celem i dążnością panującéj narodowości jest i być musi narodowość ujarzmioną w swoją wcielić i na swoją przerobić. Otoż pod takiemi okolicznościami jest wielkie niebezpieczeństwo, że z upadkiem niepodległości zaginie i narodowość sama. I jeżeli naród nie uleczy się z błędów i wad, które jego upadek polityczny sprowadziły, można mu na czole napisać, że i narodowość jego przeznaczona na zagładę, która prędzéj czy późniéj nastąpi.

Wszakże naród ujarzmiony, utraciwszy formę posłannictwa swego, zachował jeszcze całą treść, która tę formę wypełniała, to jest zachował narodowość swoją, a więc to wszystko, co ją tak pod fizycznym jak duchowym względem stanowi. Konserwując to wszystko, konserwuje narodowość swoją, która wróci nawet może do dawnego posłannictwa swego, jeżeli jéj się forma wolnego i swobodnego działania wróci, tj. jeżeli wróci naród do niepodległości.

Głównemi podnietami téj narodowości są język, oświata narodowa i bogactwo narodowe.

Język ojczysty jest na podobieństwo krwi żywotnéj, która wszystkie cząstki narodu obiega; jak się krew wytoczy, naród żyć przestaje i rozłoży się jak ciało trupie na części, które w skład innych narodowości wejdą. Szanować, więc kształcić używanie jego we wszystkich stósunkach publicznego i prywatnego życia upowszechniać należy, jeżeli narodowość ma być zachowana. Nie wypada ztąd, aby gardzić innemi językami, owszém człowiek z nabytkiem innego języka podwaja swoje człowieczeństwo. Ale biada narodowi, który własnym językiem pogardza, albo go się przed obcymi wstydzi.

Oświata narodow, złoconą jest w literaturze ojczystéj, w dziejach narodu i całéj jego przeszłości. Badając i karmiąc się przeszłością, nie trzeba zapominać, że należy z oświatą innych narodów postępować, by zostawszy w tyle, nie być zapomnianym. Bodajby raczéj wygórować w jakiéj umiejętności, bodajby zaświecić narodowego geniuszu blaskiem, by obcy zmuszeni byli dla téj wyższości umysłowéj, poznać i język, w którym te objawy ducha są złożone i nauczyli się cenić naród, który wśród siebie także światło wydał. To samo rozumie się o sztukach pięknych, o przemyśle, o wynalazkach. Narodowości ujarzmionéj nie wolno być niższą w oświecie od narodowości panującéj, nie wolno jéj nie trzymać się i nie popierać postępu na polu praw politycznych i reform społecznych, bo zacofana w oświacie i postępie niech nie myśli o uzyskanie praw sobie należnych, któremiby się krzewić i rozrastać mogła. Nic tak nie wynaradawia naród podbity, jak oświata narodowości panującéj, jeżeli ta jest wyższą. Ciśnie się ona jak powietrze, które w każdą próżnię wnika, we wszystkie szczeliny narodowego życia, wypierająca z niego pierwiastek narodowy, a rozpościerająca w jego miejsce pierwiastek obcy. Inaczéj być nie może. Jest to prawo natury powtarzające się i w krainie ducha: gdzie słabo, tam się rwie, a jak światło ciemności wypiera, tak oświata obca wyprzeć musi ciemnotę narodową. Jakaż to więc okropna odpowiedzialność ciąży na każdém podrastającém pokoleniu ujarzmionego narodu, aby się uczyło i wygórowało w oświacie, a nie zostało w tyle po za innoplemieńcami, w których rękach są rządy i panowanie! Jaki ciężki obowiązek dla każdego, aby wszystko poświęcał dla postępu i oświaty, aby naród podbity aż w ostatecznych warstwach swoich ukształcił się i umoralnił, a przytém ukochał swoję narodowość. W oświacie tylko zbawienie dla niéj i byt, w ciemnościach czeka ją obumieranie i śmierć.

Dobrobyt materyalny jest dzieckiem oświaty. Głupi do majątku nie przyjdzie, bo go mądry oszuka i wyprzedzi. Tylko ten, co się zna dokładnie na swojéj sztuce czy to rólnik, czy fabrykant, kupiec czy rzemieślnik, tylko taki może liczyć na odbyt towaru i produktu swojego i ciągnąć z niego prawe zyski, prowadzące do dobrobytu. W ogólnéj konkurencyi przemysłowéj nieuk i fuszer upaść musi koniecznie. Wszakże dobrobyt sprowadza za sobą bogactwo narodowe, będące na odwrót narodowéj oświaty podnietą i nadające każdemu współplemieńcowi silną podstawę, z któréj się wyprzeć nie da. Tą podstawą jest własność i mienie, najsilniejsze podwaliny każdéj spółeczności, jéj konserwatywne pierwiastki. Naród wyzuty z własności i mienia, naród bez dobrobytu, a więc bez bogactwa narodowego, to naród helotów zdatny tylko do niewoli i dźwigania ciężkiego jarzma posługowéj pracy, to naród wskazany na

wymarcie z nędzy, niedostatku i głodowego tyfusu. Obraz straszliwy i przerażający, przed którym zadrżeć powinno każde poczciwe narodowca serce, a naród cały w ujarzmieniu ocknąć się winien na to widmo swojéj przyszłości i z całą energią rzucić się do nauki i przemysłu, do oszczędności i pracy, do nabywania własności i mienia.

Jeżeli naród podbity te trzy główne arterye swojéj narodowości z każdém nowém pokoleniem coraz więcéj odżywiać i używotniać będzie, może urość w potęgę i siłę, z którą się panującéj narodowości rachować będzie trzeba, może zdobyć sobie autonomiczne prawa i ustawy, może z realnéj unii przejść do personalnéj unii i wyrobić sobie niezależne stanowisko, które mu pozwoli podjąć na nowo myśl swoję posłanniczą. Mamy tego świeży przykład na Węgrach w stósunku do Austryi.

Jeżelim wam moi panowie przedstawił to stanowisko narodowości do kwestyi socyalnéj, która dziś świat społeczny zajmuje, pojmiecie łatwo, żem miał kraj nasz i nas samych na myśli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki**.

(Dalszy ciąg.)

Oblicze zachowała tak młode, że spojrzawszy nikt nie mógł jéj więcéj liczyć nad lat szesnaście lub siedemnaście: wiotkość w postaci całéj pozostała.

Blask oczu jaśniał dawném życiem, częściéj wszakże rosiły się łzami i zachodziły mgłą, przygaszającą ogień spojrzenia.

Jedna tylko, ledwo znaczna rysa na czole w chwili głębszéj zadumy czasem wydatniała; wyżłobiła ją praca myśli, pobudzanéj bolem serca, co straciło nadzieje szczęścia.

— Prawda, że piękna — myślała daléj księżna — i mógł ją ukochać, gdy mnie oddzieliło od niego na zawsze przeznaczenie smutne! Starajmy się bliżéj poznać — może w jéj towarzystwie znajdę ulgę biednemu sercu....

Tłum wspomnień ją otoczył; myślą przeniosła się do owych Sosnowic w Lubelskiéj ziemi, gdzie pierwszy raz Kościuszkę poznała i pierwszy raz młode jéj serce uderzyło gwałtownem uczuciem. Przed oczyma jéj duszy stanął ów dwór wielki hetmański, do którego wjeżdżało się mostem i owa oficynka murowana, w któréj z siostrą starszą Katarzyną mieszkała pod opieką krewniaczki panny Karoliny Zenowiczówny. Komnatka nie wielka, ale gustownie urządzona, pełna kwiatów i woni. Stół dywanem nakryty, na nim książki i papiery i obok trzy krzesła, które zajmował Kościuszko z młodemi uczennicami swemi. Na kanapce siedzi panna Karolina, haftując na krosienkach, nauczyciel opowiada dzieje Grecyi, a gdy spotka pełne uczucia spojrzenie pięknéj Ludwiki, rumieniec krasi jego oblicze, zaczyna się jąkać i słów dobrać nie umie.

— Co ci to, panie Tadeuszu? pyta dobrotliwa ochmistrzyni haftująca.

— Nic to, nic! — odpowiedział pomięszany, – zapomniałem nazwiska greckiego wojownika, o którym miałem właśnie mówić.

Panna Katarzyna uśmiechała się wtedy, a młody nauczyciel, niby przepraszał swe uczennice, całował i ściskał drobne rączki najbliżéj siedzącéj Ludwini.

— Ach! poszepnęła z cicha księżna, były to jedyne chwile mego szczęścia w całém życiu.

Westchnęła boleśnie, opuściła głowę na piersi, a łzy zabłyszczały w jéj oczach...

Zdawało się w jéj zadumaniu smutném, że słyszy cichy szept Tadeusza, jak wyznaje swoję miłość i namawia do ucieczki, malując wymownie całą przyszłość uroczą. Oblicze księżnéj rozpromieniło się radością na to wspomnienie, ale wkrótce zasępiało na nowo, gdy przypomniała sobie groźne oblicze ojca i wygnanie z Sosnowic tego, którego tak ukochała.

Całą pamiątką po nim zostały jego ręką sadzone w okół dworu świerki i piękny park lip wonnych. — Potém nasunęła myśl coraz smutniejsze obrazy, samotność w oficynie murowanéj i łzy jéj ciche, tajemne niepodzielane z nikim. — I gdy ożywiała wspomnienia ubiegłe, stanęła postać jéj narzeczonego, księcia Józefa Lubomirskiego — jéj ślub i świetne wesele, na które wystąpił hetman z całym przepychem magnackim, a w lat kilka płacz i łkanie licznego dworu, gdy zwłoki zimne i martwe spoczywały na wspaniałym katafalku. I znów pozostała sama wdowa, ale teraz wolna i swobodniejsza.

Sława, którą się okrył w Ameryce Kościuszko, ożywiła w jéj sercu dawne uczucie. — Widziała go w Warszawie, kiedy jéj mąż przedstawiał jako dawną znajomość znakomitego jenerała. Ale Kościuszko w księżnie Lubomirskiéj nie chciał poznać swéj Ludwini.

— Jestem wolna teraz — mówiła do siebie — nie utraciłam wiele wdzięków, mam majątek, gdy on sam i opuszczony. Pojadę — ofiaruję mu swą rękę, któréj nie odrzuci, jeżeli zbyt nieukochał chorążanki.

To wspomnienie wywołało jéj bolesne westchnienie.

— Trzeba zbadać bliżéj wszystko — otwartością dojdę do celu.

O północy zaczęła lać ulewa: księżna rada jéj była, bo Żurowski ani chciał mówić o jéj wyjeździe.

Chorążanka po przybyciu księżnéj do Ihnatowic zajęta wyręczeniem matki w przyjęciu, nie pomyślała, że to jest ta sama Ludwika Sosnowska, którą Amerykanin pierwszą miłością ukochał. Ale w wieczornéj rozmowie, a szczególniéj nazajutrz z kilku słów ojca odkryła tę wiadomość i zaczęła więcéj uważać, że ją ściga ciągle wzrok księżnéj niespokojny.

Kościuszko wówczas już powrócił z Ameryki, gdzie był po wypuszczeniu z niewoli wyjechał i osiadł stale we Francyi. Księżna niecierpliwa, żeby się dowiedzieć

czy istnieje jeszcze jaki stósunek pomiędzy nim, a rodziną Żurowskich, zapytała z obojętném na pozór obliczem przy śniadaniu:

— Czy nie słyszałeś czego, mój chorąży, o jenerale Kościuszcze?

— Nic nie wiem, Mościa księżno! — odpowiedział spokojnym głosem — od czasu jego niewoli i wyjazdu do Ameryki, tyle wiem, co z gazet czytamy. Nikogo nie ma w naszych okolicach, coby miał z tym wielkim bohaterem naszym bliższe stósunki.

Księżna utkwiła wzrok badawczy w chorążankę, ale ta bez żadnego wzruszenia na obliczu, jakkolwiek żywiéj jéj serce uderzyło na wspomnienie ukochanego imienia, podawała jéj konfitury własnego smażenia.

— Wasza książęca Mość, rzekła z uśmiechem wdzięcznym, nie możesz się pochwalić, że używasz małych przyjemności gospodyni wiejskiéj w przyrządzaniu przysmaczków. My to je tylko szlachcianki mamy.

— Mój ojciec, odpowiedziała poważnie księżna, wyrósł na wojewodę i hetmana z prostego szlachcica, a mój tytuł, wierz mi, kochana panno chorążanko, oddałabym chętnie za jedną chwilę prawdziwego szczęścia....

Mówiła to głosem wzruszonym, a łzy błysnęły w jéj oczach. Tocię rozbroiła temi słowy: spojrzała na nią pełnym współczucia wzrokiem. Zrozumiała go księżna, bo po śniadaniu wzięła ją za rękę i przeszła do jéj komnatki. Gdy były same, wyrzekła drżącemi usty:

— Nie chcę taić, kochana panno Teklo, że ja jestem ową Ludwiką Sosnowską, którą ukochał pierwszą miłością Kościuszko. To uczucie zrobiło go wygnańcem, ale dało mu sławę i głośne imię. Wiem, że ciebie kochał z równym, jak mnie zapałem i to wiem — dodała ciszéj — że cię jeszcze kocha.

— Mościa księżno, czyż zasłużyłam na to, aby przygojone nieco rany serca mego, na nowo otwierać i zakrwawiać? I załkała rzewnie.

— Nie tego, moja droga Teklo, chciałam — mówiła pełnym łagodności głosem księżna — pragnęłam cię poznać i przyznam się, bo fałsz mam w obrzydzeniu, że umyślnie tę podróż przedsięwzięłam. Miłość jego, to zaszczyt dla każdéj kobiety, bo to człowiek szlachetny i znakomity. Jestem wdową, w pożyciu małżeńskiém nie doznałam szczęścia, bo oddałam rękę stósownie do woli ojca, który miał słabość, że pragnął stać zawsze w rzędzie magnatów polskich. Umiem cenić niedolę drugich i twoje cierpienia, bom i ja przebolała wiele w życiu mojém zawodów! Daleką jest zazdrość odemnie. Ta, którą ukochał Kościuszko, godną jest poszanowania, ja pragnę twéj przyjaźni, a może znajdziemy, choć małą chwilę szczęścia, gdy będziem sobie o nim mówiły.

To wyrzekłszy, wyciągnęła ręce do chorążanki, która rzuciła się w jéj objęcia i obie załkały cichym płaczem.

Ten uścisk księżnéj, przechodząc przypadkiem, ujrzał Żurowski, odszedł na palcach do sypialni i w głęboką wpadł zadumę.

Księżna opowiedziała jéj poznanie swoje z panem Tadeuszem, wzajemną miłość, a następnie, jak zmuszony był ich dom opuścić na zawsze. Tocia odkryła dzieje swego serca i pokazała wszystkie listy pisane do siebie i matki.

Odczytała je uważnie księżna, a zwracając chorążance, mówiła:

— Zawsze ten sam szlachetny i pełen zacnych uczuć!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Wielkość świata.

Nader łatwo powiedzieć, że ziemia oddalona od słońca 20 milionów mil, łatwo powiedzieć, że słońce 600 razy jest większe, jak wszystkie planety razem wzięte — a mamy ich dotąd wraz z asteroidami przeszło 90 — ale wyobrazić sobie te oddalenia i różnice, to rzecz nie tak prosta. Pewien nauczyciel wymyślił jednakże wyborny sposób plastycznego przedstawienia wielkości świata.

Oto wziął ziarnko wiki i nazwał je ziemią; — potém odmierzył 63 kroki i postawił kulę mającą 14 cali średnicy, którą nazwał słońcem, daléj od słońca tego wymierzył 329 kroków i postawił Jowisza, t. j. kulę mającą 1¼ cali średnicy, a o 606 kroków położył Saturna o 1½ cala w średnicy. — Tak położył wszystkie planety, a gdy przyszedł do Neptuna, to już na niego musiał odmierzyć od słońca aż 2500 kroków. To poszło jeszcze łatwo, ale gdy miał oznaczyć najbliższą ze stałych gwiazd, zaniechał dalszych wymiarów, bo odległość jéj od słońca wynosiłaby aż dwie mile.

Wiemy, że obrót planety około słońca stanowi rok. Nasz rok składa się z 365—6 dni, bo w tym czasie ziemia obraca się koło słońca; ale nie wszędzie rok jest równy, im bardziéj oddalone planety od słońca, tém większe przebiegają koło, tém więcéj potrzebują czasu do tego i tém też dłuższy rok mają. Merkury przebiega swe koło w blisko 88 dniach, a więc tam rok przeszło cztery razy krótszy jest, jak u nas; ale za to rok Jowiszowy już ma blisko 12 lat naszych, Saturnowy blisko lat 30, Uranusowy 64 lat, a Neptunowy aż 164 lat. Jeżeli zatém żyją ludzie na Neptunie, to półroczne dzieci są w porównaniu do nas sędziwemi starcami, liczą bowiem aż 82 lat naszéj rachuby.

X. S. T.

Szarada.

Pierwsze znajdziecie
W polskim alfabecie,
Drugie i trzecie są szaty;
Strój wspaniały i bogaty.
Ale zarówno i ku wygodzie,
Służył królom — szlachcie — wojewodzie.
Całe jest ziemią braci poczciwéj:
Jeden nam smutek i los życzliwy.

(Rozwiązanie szarady w nr. 13: ***Karolina***.)
(W szaradzie téj zaszła pomyłka drukarska w wierszu 9tym, gdzie zamiast: Pierwsze, trzecie rośnie w ogrodzie, czytać należy: Pierwsze, trzecie, czwarte itd.)

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu Adamowi S.: Pańska szarada przedstawia się rzeczywiście dość „niepozornie“; pozorniejszą chętnie przyjmiemy. — Panu Maks. B. z Pawłowa: Zbyt zawikłane. — Panu P. z pod Jaraczewa: Żałujemy, że Pański „kolczyk“ za bardzo kole. — Panu A. B. z Poznania: Pańskiemu życzeniu zadość uczynić nie możemy; wszakże udatniejszy „utworek“, możebyśmy chętnie przyjęli. — Panu Janowi z Bronicy: Współudział Pański będzie nam bardzo pożądany; nie omieszkamy wejść w bliższe porozumienie.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.